

HARLAN COBEN

Nie mów nikomu

Thriller



Powinniśmy usłyszeć złowrogi świst wiatru. Albo poczuć zimny dreszcz przeszywający do szpiku kości. Cokolwiek. Jakiś cichy śpiew, który tylko Elizabeth i ja zdołalibyśmy usłyszeć. Wiszące w powietrzu napięcie. Jeden z typowych znaków zwiastujących nieszczęście. W życiu zdarzają się dramaty, których niemal się spodziewamy — na przykład takie, jakie się przydarzyły moim rodzicom — a także inne niedobre chwile, nagłe wypadki zmieniające wszystko. Inaczej wyglądało moje życie przed tamtą tragedią. Inaczej wygląda obecnie. I jedno, i drugie mają ze sobą boleśnie mało wspólnego.

Podczas naszej rocznicowej wycieczki Elizabeth była milcząca, ale nie było w tym nic niezwykłego. Już jako dziewczynka wykazywała skłonność do nagłych przyływów melancholii. Milkła i popadała w głęboką zadumę lub apatię — nigdy nie wiedziałem, jak jest naprawdę. Pewnie było to częścią tajemnicy, lecz wtedy po raz pierwszy wyczułem dzielącą nas przepaść. Nasz związek tyle przetrwał. Zastanawiałem się, czy zdoła przetrwać prawdę. Lub — jeśli o tym mowa — niewypowiedziane kłamstwa.

Klimatyzator samochodu szumiał, nastawiony na niebieskie pole maksimum. Dzień był gorący i parny. Jak to w sierpniu. Przejechaliśmy przez Delaware Water Gap po Milford Bridge i przyjacielski kasjer w budce powitał nas w Pensylwanii. Po dziesięciu kilometrach zauważyłem kamienny drogowskaz z napisem JEZIORO CHARMAINE — WŁASNOŚĆ PRYWATNA. Skręciłem w wiejską drogę.

Opony szurały po żwirze, wzbijając chmurę kurzu, niczym oddział galopujących Arabów. Elizabeth wyłączyła radio. Kątem oka zauważyłem, że studiowała mój profil. Zastanawiałem się, co widziała, i serce zaczęło mi mocniej bić. Po prawej dwa jelenie skubały liście. Znieruchomiały, popatrzyły na nas i widząc, że nie chcemy ich skrzywdzić, powróciły do swego zajęcia. Jechałem, aż ujrzeliśmy przed sobą jezioro. Słońce w agonii siniaczyło niebo smugami purpury i żółci. Wierzchołki drzew wydawały się stać w ogniu.

— Nie mogę uwierzyć, że wciąż to robimy — powiedziałem.

— To ty zacząłeś.

— Taak, kiedy miałem dwanaście lat.

Elizabeth pozwoliła sobie na szeroki uśmiech. Nie uśmiechała się często, ale kiedy już to robiła — bach, trafiał mnie prosto w serce.

— To romantyczne — ciągnęła.

— Raczej głupie.

— Kocham romantyka.

— Kochasz głupka.

— Ilekroć to robimy, zawsze potem wzbiera w tobie żądza.

— Mów mi „pan Romantyk”.

Zaśmiała się i ujęła moją dłoń.

— Chodź, panie Romantyku. Robi się ciemno.

Jezioro Charmaine. To mój dziadek wymyślił tę nazwę, co potwornie wkurzyło babkę. Pragnęła, żeby nazwał je jej imieniem. Miała na imię Bertha. Jezioro Berthy. Dziadek nie chciał o tym słyszeć. Dwa punkty dla staruszka.

Przed ponad pięćdziesięcioma laty nad jeziorem Charmaine prowadzono letnie obozy wakacyjne dla bogatych dzieciaków. Właściciel tego interesu splajtował i dziadek kupił za grosze całe jezioro wraz z otaczającym je terenem. Odnowił dom kierownika ośrodka i rozebrał większość budynków stojących nad wodą. Lecz w głębi lasu, gdzie już nikt nie chodził, pozostały rozsypujące się baraki dzieciarni. Kiedyś zapuszczałem się tam z moją siostrą Lindą, żeby szukać różnych skarbów w ruinach, bawić się w chowanego lub namawiać wzajemnie na poszukiwanie Boogeymana, który z pewnością obserwował nas i czekał. Elizabeth rzadko przyłączała się do nas. Lubiła wiedzieć, gdzie co jest. Zabawa w chowanego przerażała ją.

Kiedy wysiedliśmy z samochodu, usłyszałem głosy duchów. Było ich wiele, zbyt wiele. Wirowały wokół, przepychając się do mnie. Zwyciężył mój ojciec. Nad jeziorem zalegała głucha cisza, ale mógłbym przysiąc, że wciąż słyszę radosny krzyk ojca, właśnie odbijającego się od pomostu, by z kolanami mocno przyciśniętymi do piersi i ustami rozciągniętymi w szerokim uśmiechu wzbicić wirtualną falę, która prysnie w oczy jego jedyne go syna. Tato lubił wskakiwać do wody w pobliżu materaca, na którym opalała się mama. Karciła go, z trudem tłumiąc śmiech.

Zamrugalem oczami i duchy znikły. Ja jednak już przypomniałem sobie, jak ten śmiech, krzyk oraz plusk marszczyły wodę i odbijały się echem w ciszy naszego jeziora. Zastanawiałem się, czy takie kręgi i echa kiedykolwiek znikają,

czy też może gdzieś w lesie wesole okrzyki mojego ojca wciąż odbijają się bezgłośnie od drzew. Głupia myśl, ale każdego czasem takie nachodzą.

Widzicie, wspomnienia wywołują ból. Najdotkliwszy zaś sprawiają najlepsze z nich.

— Wszystko w porządku, Beck? — zapytała Elizabeth.

Odwrociłem się do niej.

— Będziemy się kochać, dobrze?

— Zboczeniec.

Ruszyła ścieżką, wyprostowana, z podniesioną głową. Obserwowałem ją przez moment, wspominając, jak po raz pierwszy zobaczyłem ten chód. Miałem siedem lat i wziąłem rower — ten z wąskim siodelkiem i kalkomanią Batmana — żeby zjechać po Goodhart Road. Ulica była stroma i kręta, idealna do zabawy w kierowcę rajdowego. Zjeżdżałem w dół bez trzymanki, czując się tak wspaniale i bohatersko, jak tylko może siedmiolatek. Wiatr rozwiewał mi włosy i wyciskał łzy z oczu. Zauważyłem furgonetkę firmy transportowej przed starym domem Ruskinów, skręciłem... i tam była ona, moja Elizabeth, wyprostowana jak struna, chodząca w ten sposób już wtedy, jako siedmioletnia dziewczynka z kucykami, aparacikiem na zębach i mnóstwem piegów.

Dwa tygodnie później spotkaliśmy się w drugiej klasie panny Sobel i od tej pory — proszę, nie śmieJCie się z tego — staliśmy się bratnimi duszami. Dorośli uważali łączącą nas więź za słodką i niezdrową. Jako nierozłączna para przeszliśmy od urwisowania i kopania piłki przez etap szczenięcej miłości, młodzieńczego zauroczenia i namiętnych randek w szkole średniej. Wszyscy czekali, kiedy się sobie znudzimy. Także my. Oboje byliśmy bystrzymi dzieciakami, szczególnie Eliza-
beth, najlepszymi uczniami, racjonalnie podchodzącymi nawet

do irracjonalnej miłości. Rozumieliśmy, jak niewielką ma szansę przetrwania.

A jednak byliśmy tu teraz, dwudziestopięcioletni, siedem miesięcy po ślubie, powróciwszy na miejsce, gdzie pocałowaliśmy się po raz pierwszy, mając po dwanaście lat.

Wiem, że to ckliwe.

Przeciskaliśmy się przez krzaki i powietrze tak wilgotne, że niemal krępowało ruchy. W powietrzu unosił się drażniący gardło zapach sosnowej żywicy. Szliśmy po wysokiej trawie. Za naszymi plecami moskity i tym podobne owady, brzęcząc, podrywały się w powietrze. Drzewa rzucały długie cienie, które można było interpretować w dowolny sposób, tak samo jak doszukiwać się sensu w kształtach chmur lub kleksach Rorschacha.

Zeszliśmy ze ścieżki i przedarliśmy się przez gąszcz. Elizabeth szła pierwsza. Ja dwa kroki za nią, co — kiedy teraz o tym myślę — miało niemal symboliczne znaczenie. Zawsze wierzyłem, że nic nas nie rozdzieli — przecież dowodziła tego historia naszej znajomości, czyż nie? — lecz teraz bardziej niż kiedykolwiek czułem, jak odpycha ją ode mnie poczucie winy.

Mojej winy.

Idąca przodem Elizabeth dotarła do dużego, podobnego do fallusa głazu, a na prawo od niego rosło nasze drzewo. Nasze inicjały oczywiście były wyryte w korze:

E.P.

+

D.B.

I owszem, otoczone serduszkim. Pod nim widniało dwanaście nacięć, po jednym na każdą rocznicę naszego pierwszego pocałunku. Już miałem rzucić jakąś dowcipną uwagę o tym,

jacy jesteśmy cikliwi, ale rozmyśliłem się, kiedy ujrzałem twarz Elizabeth, na której piegi znikły już lub pojaśniały, dumnie uniesioną głowę, długą i smukłą szyję, ciemnozielone oczy i czarne włosy splecione w gruby warkocz. W tym momencie o mało jej nie powiedziałem prawdy, lecz coś mnie powstrzymało.

— Kocham cię — rzuciłem.

— Już zaspokoileś żądzę.

— Och.

— Ja też cię kocham.

— Dobrze, dobrze — odparłem z udawanym zniechęceniem — zaspokoję i twoją.

Uśmiechnęła się, lecz miałem wrażenie, że w jej oczach dostrzegłem wahanie. Wziąłem ją w ramiona. Kiedy miała dwanaście lat i w końcu zebraliśmy się na odwagę, żeby tego spróbować, cudownie pachniała szamponem do włosów i truskawkowym Pixie Stix. Byłem oszołomiony nowym doznaniem i podniecony odkryciem. Dzisiaj pachniała bzem i cynamonem. Pocałunek był jak ciepły blask płynący wprost z mojego serca. Kiedy nasze języki stykały się, wciąż przechodził mnie dreszcz. Elizabeth odsunęła się, zdyszana.

— Chcesz pełnić honory domu? — zapytała.

Wręczyła mi nóż, a ja zrobiłem trzynaste nacięcie na pniu drzewa. Trzynaste. Patrząc wstecz, może to był ten ostrzegawczy znak.



Kiedy wróciliśmy nad jezioro, było już ciemno. Błady księżyc przedarł się przez mrok, niczym samotna latarnia morska. Wieczór był cichy, nawet świerszcze milczały. Elizabeth i ja pośpiesznie rozebraliśmy się. Popatrzyłem na nią

w blasku księżyca i ścisnęło mnie w gardle. Zanurkowała pierwsza, niemal nie pozostawiając kręgów na wodzie. Niezgrabnie poszedłem w jej ślady. Woda była zaskakująco ciepła. Elizabeth płynęła precyzyjnymi, równymi uderzeniami ramion, sunąc po wodzie, jakby ta rozstępowała się przed nią. Ja podążałem za nią, chlapiąc i prychając. Pluski przelatywały po wodzie, odbijając się jak płaskie kamyczki. Elizabeth odwróciła się i wpadła mi w ramiona. Jej skóra była ciepła i mokra. Kochałem jej skórę. Trzymaliśmy się w objęciach. Przycisnęła piersi do mojego torsu. Czułem bicie jej serca i słyszałem jej oddech. Odgłosy życia. Pocałowaliśmy się. Moja dłoń przesunęła się w dół po jej cudownie gładkich plecach.

Kiedy skończyliśmy — kiedy znów było tak dobrze — podciągnąłem się na tratwę i bezwładnie opadłem na nią. Machałem nogami, dysząc i rozpryskując wodę.

Elizabeth zmarszczyła brwi.

— Cóż to, zamierzasz teraz zasnąć?

— I chrapać.

— Prawdziwy mężczyzna.

Wyciągnąłem się wygodnie, splótłszy dłonie pod głową. Chmura przesłoniła księżyc, zmieniając błękit nocy w bladą szarość. Wokół panowała cisza. Usłyszałem, jak Elizabeth wyszła z wody i weszła na pomost. Próbowałem coś dojrzeć w ciemności. Ledwie dostrzegłem zarys jej nagiego ciała. Mimo to zaparło mi dech. Patrzyłem, jak się pochyliła i wycisnęła wodę z włosów. Potem się wyprostowała i odrzuciła głowę do tyłu.

Tratwa powoli odpływała od brzegu. Usiłowałem uporządkować to, co mi się przydarzyło, lecz nawet ja sam nie rozumiałem wszystkiego. Tratwa odpływała. Zacząłem tracić

z oczu Elizabeth. Kiedy wchłonął ją mrok, podjąłem decyzję. Powiem jej. Powiem jej wszystko.

Kiwnąłem głową i zamknąłem oczy. Ciężar spadł mi z serca. Słuchałem, jak woda cicho omywa tratwę.

Nagle dotarł do mnie dźwięk otwieranych drzwi samochodu. Usiadłem.

— Elizabeth?

Cisza, w której słyszałem tylko swój oddech.

Ponownie spróbowałem dostrzec jej postać. Przyszło mi to z trudem, ale przez chwilę widziałem ją. A przynajmniej tak mi się zdawało. Teraz nie jestem już pewien, tak samo jak nie mam pewności, czy ma to jakieś znaczenie. Tak czy inaczej, Elizabeth stała nieruchomo i może patrzyła na mnie.

Możliwe, że przymknąłem oczy — tego też nie jestem pewien — a kiedy je otworzyłem, już znikła.

Serce podeszło mi do gardła.

— Elizabeth!

Żadnej odpowiedzi.

Wpadłem w panikę. Stoczyłem się z tratwy i popłynąłem w kierunku pomostu. Moje ręce cięły wodę z głośnym, ogłuszająco głośnym pluskiem. Nie słyszałem, co się dzieje na brzegu — jeśli coś się tam działo. Zatrzymałem się.

— Elizabeth!

Przez długą chwilę wokół panowała cisza. Chmura wciąż zasłaniała księżyc. Może Elizabeth weszła do domku. Może poszła wyjąć coś z samochodu. Otworzyłem usta, żeby znów ją zawołać.

Wtedy usłyszałem jej krzyk.

Wyciągnąłem się na wodzie i popłynąłem, najszybciej jak mogłem, wściekle młóćąc rękami i nogami. Byłem jednak daleko od pomostu. Próbowąłem coś na nim wypatrzeć, ale

było już zbyt ciemno, a księżyc stał tylko cienkie smugi blasku, które niczego nie oświeślały.

Usłyszałem szuranie, jakby coś wleczono po ziemi.

Przed sobą zobaczyłem pomost. Sześć metrów, nie dalej. Popłynąłem jeszcze szybciej. Kłuło mnie w piersiach. Zachłysnąłem się wodą, wyprostowałem ręce, macając w ciemnościach. Znalazłem. Drabinka. Złapałem ją, podciągnąłem się i wyszedłem z wody. Pomost był mokry po przejściu Elizabeth. Spojrzałem w kierunku domku. Zbyt ciemno. Niczego nie dostrzegłem.

— Elizabeth!

Jakby ktoś rąbnął mnie kijem baseballowym w splot słoneczny. Oczy wyszły mi na wierzch. Zgiąłem się wpół, spazmatycznie usiłując wciągnąć powietrze w płuca. Nie zdołałem. Drugi cios. Ten trafił mnie prosto w głowę. Usłyszałem głośny trzask i miałem wrażenie, że ktoś wbił mi gwóźdź w skroń. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa i opadłem na kolana. Zupełnie zdezorientowany, zakryłem głowę rękami, usiłując się zasłonić. Następny — i ostatni — cios trafił mnie prosto w twarz.

Runąłem w tył, z powrotem do jeziora. Wszystko pochłonał mrok. Ponownie usłyszałem krzyk Elizabeth, która tym razem wołała moje imię, lecz ten dźwięk, tak jak wszystkie inne, został zagłuszony przez bulgot, z jakim poszedłem pod wodę.

1

Osiem lat później

Następna dziewczyna miała złamać mi serce.

Miała piwne oczy, kręcone włosy i szeroki uśmiech. Miała także kłamry na zębach, czternaście lat i...

— Jesteś w ciąży? — zapytałem.

— Tak, doktorze Beck.

Udało mi się nie zamknąć oczu. Nie po raz pierwszy widziałem ciężarną nastolatkę. Nie była nawet pierwszą tego dnia. Pracowałem jako pediatra w przychodni w Washington Heights już od pięciu lat, od kiedy zakończyłem staż w pobliskim Columbia-Presbyterian Medical Center. Zapewniamy miejscowym rodzinom (czytaj: biedocie) opiekę medyczną, w tym położniczą, internistyczną i pediatryczną. Wielu ludzi uważa, że to czyni mnie jakimś cholernym filantropem. Nic z tych rzeczy. Lubię pediatrię. Nie przepadam za praktykowaniem jej na przedmieściach, wśród wygimnastykowanych mamus, wymanikiurowanych tatusiów i facetów takich jak ja.

— Co zamierzasz zrobić? — zapytałem.

— Ja i Terrell. Jesteśmy naprawdę szczęśliwi, doktorze Beck.

— Ile Terrell ma lat?

— Szesnaście.

Spojrzała na mnie, szczęśliwa i uśmiechnięta. Ponownie udało mi się nie zamknąć oczu.

Zawsze — zawsze — zadziwia mnie to, że większość tych ciąż nie jest przypadkowa. Te dzieci chcą mieć dzieci. Nikt tego nie pojmuję. Mówią o kontroli urodzeń i wstrzemięźliwości — bardzo dobrze, ale chodzi o to, że ich przyjaciele, fajni ludzie, mają dzieci i wszyscy się nimi zajmują, więc co, Terrell, dlaczego nie my?

— On mnie kocha — oznajmiła czternastolatka.

— Powiedziałaś matce?

— Jeszcze nie. — Pokręciła się niespokojnie na krześle, przy czym prawie wyglądała na swoje czternaście lat. — Miałam nadzieję, że mógłby pan przy tym być.

Skinąłem głową.

— Jasne.

Nauczyłem się nie osądzać. Słucham. Współczuję. Jako stażysta, prawilbym kazania. Spoglądałbym z góry na pacjentów i uświadamiał im, jak autodestrukcyjne jest takie postępowanie. Jednakże w pewne zimne popołudnie na Manhattanie zmęczona siedemnastoletnia dziewczyna, która właśnie miała urodzić trzecie dziecko trzeciego z kolei ojca, spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała niezaprzeczalną prawdę: „Nic pan nie wie o moim życiu”.

Zamknęła mi usta. Dlatego teraz słucham. Przestałem odgrywać Łaskawego Białego Człowieka i stałem się lepszym lekarzem. Zapewnię tej czternastolatce i jej dziecku najlepszą opiekę medyczną, jaka będzie możliwa. Nie powiem jej, że Terrell ją rzuci, że właśnie przekreśliła całą swoją przyszłość i, tak jak większość moich pacjentek, zajdzie w ciążę jeszcze

z co najmniej dwoma innymi mężczyznami, zanim skończy dwadzieścia lat.

Jeśli będziesz za dużo o tym myślał, dostaniesz świra.

Porozmawialiśmy chwilę — a raczej ona mówiła, a ja słuchałem. Gabinet, pełniący również rolę mojego pokoju, miał wielkość więziennej celi (co nie oznacza, że wiedziałem to z własnego doświadczenia) i ściany pomalowane na zgniłozielony kolor, jak ubikacje w szkole podstawowej. Na drzwiach wisiała okulistyczna plansza, na której wskaźnikiem pokazuje się pacjentowi kolejne litery. Jedna ściana była pokryta wyblakłymi kalkomaniami przedstawiającymi postacie z kreskówek Disneya, a drugą zasłaniał ogromny plakat ukazujący łańcuch pokarmowy. Moja czternastoletnia pacjentka siedziała na fotelu nakrytym jednorazowym papierowym ręcznikiem. Z jakiegoś powodu ten marszczący się papier przypominał mi opakowanie kanapki w Carnegie Deli.

Kaloryfer grzał niemiłosiernie, ale nie można było go zakręcić, ponieważ dzieciaki często rozbierały się do badania. Miałem na sobie mój roboczy strój pediatry: niebieskie dżinsy, sportowe buty, zapinaną na guziki koszulę i jaskrawy krawat z hasłem „Ratuj dzieci!”, zdradzającym datę jego produkcji: tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty rok. Nie nosiłem białego fartucha. Uważam, że dzieci się go boją.

Moja czternastolatka — owszem, nie mogłem pogodzić się z jej wiekiem — była sympatyczną dziewczyną. Dziwne, ale one wszystkie są miłymi dzieciakami. Polecilem jej dobrego położnika. Potem porozmawiałem z matką. Nic nowego czy zaskakującego. Jak już powiedziałem, robię to prawie codziennie. Uściskałem dziewczynę, kiedy wychodziła. Nad jej ramieniem wymieniliśmy spojrzenia z matką. Każdego dnia średnio dwadzieścia pięć matek przyprawia do mnie swoje

córki. Pod koniec tygodnia na palcach jednej ręki mogę zliczyć te, które są zamężne.

Jak już wspomniałem, nie osądzam. A jednak bacznie obserwuję.

Kiedy wyszły, zacząłem uzupełniać kartę pacjentki. Przerzuciłem kilka stron. Opiekowałem się tą dziewczyną, od kiedy skończyłem staż. To oznaczało, że zaczęła do mnie przychodzić jako ośmiolatka. Spojrzałem na wykres wagi i wzrostu. Przypomniałem sobie, jak wyglądała jako ośmiolatka, a jak przed chwilą. Niewiele się zmieniła. W końcu zamknąłem oczy i potarłem powieki.

— Poczta! Masz pocztę! Ooo! — przerwał mi okrzyk Homera Simpsona.

Otworzyłem oczy i spojrzałem na monitor. Odezwał się do mnie głosem Homera Simpsona z programu telewizyjnego „Simpsonowie”. Ktoś zastąpił tym plikiem dźwiękowym monotonne zawrodożenie komputera: „Masz wiadomość”. Podobał mi się ten sygnał. Nawet bardzo.

Już miałem sprawdzić pocztę elektroniczną, gdy przeszkodził mi pisk interkomu. Wanda, rejestratorka, powiedziała:

— Ma pan... hm... ma pan... hm... Dzwoni Shauna.

Zrozumiałem jej zmieszanie. Podziękowałem i nacisnąłem podświetlony guzik.

— Jak się masz, słodka.

— Dobrze — odparła. — Jestem tutaj.

Wyłączyła komórkę. Wstałem i poszedłem korytarzem na spotkanie Shauny. Weszła do przychodni tak, jakby robiła coś poniżej swej godności. Była topową modelką, jedną z nielicznych wystarczająco znanych, żeby używać tylko imienia. Shauna. Jak Cher czy Fabio. Miała metr osiemdziesiąt cztery centymetry wzrostu i ważyła siedemdziesiąt osiem kilogra-

mów. Jak można oczekiwać, robiła wrażenie i przykuła spojrzenia wszystkich obecnych w poczekalni.

Nie miała zamiaru przystawać przy kontuarze rejestratorki, a ta nawet nie próbowała jej zatrzymać. Shauna otworzyła drzwi i powitała mnie słowami:

— Lunch. Teraz.

— Mówiłem ci, że będę zajęty.

— Włóż płaszcz — powiedziała. — Jest zimno.

— Posłuchaj, wszystko gra. Poza tym rocznica jest dopiero jutro.

— Ty stawiasz.

Zawahałem się i już wiedziała, że mnie ma.

— Posłuchaj, Beck, będzie fajnie. Jak w college'u. Pamiętasz, jak razem chodziliśmy na podryw?

— Nigdy nie chodziłem na podryw.

— No dobrze, to tylko ja. Wkładaj płaszcz.

Kiedy wracałem do mojego gabinetu, jedna z matek obdarzyła mnie szerokim uśmiechem i odciągnęła na bok.

— Jest jeszcze piękniejsza niż w telewizji — szepnęła.

— Uhm — mruknąłem.

— Czy pan i ona... — Matka znaczącym gestem splotła dłonie.

— Nie, ona już jest z kimś związana — odparłem.

— Naprawdę? Z kim?

— Z moją siostrą.

■ ■ ■

Zjedliśmy w kiepskiej chińskiej restauracji, gdzie podawał nam chiński kelner mówiący tylko po hiszpańsku. Shauna w nienagannym błękitnym kostiumie z dekoltem głębokim jak Rów Atlantycki, zmarszczyła brwi.

— Tortilla i wieprzowina *moo shu*?

— Zaryzykuj — powiedziałem.

Poznaliśmy się pierwszego dnia w college’u. Komuś w dziekanacie pochrzańiło się i odczytał jej imię jako „Shaun”, w wyniku czego dostaliśmy wspólny pokój. Już mieliśmy zgłosić tę pomyłkę, ale zaczęliśmy rozmawiać. Postawiła mi piwo. Polubiłem ją. Po kilku godzinach postanowiliśmy nie zgłaszać niczego w dziekanacie, ponieważ nasi prawdziwi współlokatorzy mogli okazać się dupkami.

Ja poszedłem do Amherst College, ekskluzywnej uczelni w zachodnim Massachusetts, i jeśli na naszej planecie istnieje bardziej snobistyczne miejsce, to ja go nie znam. Elizabeth, jako najlepsza absolwentka naszego rocznika, wybrała Yale. Mogliśmy pójść na tę samą uczelnię, ale przedyskutowaliśmy to i doszliśmy do wniosku, że będzie to kolejna wspaniała okazja, by wypróbować trwałość naszego związku. Postanowiliśmy wykazać się dojrzałością. Skutek? Okropnie tęskniliśmy za sobą. Ta rozłąka jeszcze pogłębiła nasze uczucia i nadała naszej miłości zupełnie nowy wymiar.

Wiem, że to kliwie.

Między kęsami Shauna zapytała:

— Możesz dziś wieczorem popilnować Marka?

Mark był moim pięcioletnim siostrzeńcem. Na ostatnim roku Shauna zaczęła umawiać się z moją starszą siostrą Lindą. Od prawie siedmiu lat mieszkały razem. Mark był ubocznym produktem ich... cóż, ich miłości, oczywiście wspomaganej sztucznym zapłodnieniem. Linda urodziła go, a Shauna zaadoptowała. Pod pewnymi względami nieco staroświeckie, pragnęły, by ich syn miał jakiś męski wzorzec. Czyli mnie.

Rozmawialiśmy o tym, co u mnie w pracy i o „Ozzie i Harriet”.

— Żaden problem — powiedziałem. — I tak chciałem zobaczyć ten nowy film Disneya.

— Jest niesamowity — zapewniła mnie Shauna. — Najlepszy od czasu Pocahontas.

— Dobrze wiedzieć — odparłem. — Dokąd wybieracie się z Lindą?

— Nie mam pojęcia. Teraz, kiedy lesbijki są w modzie, nie możemy opędzić się od zaproszeń. Prawie tęsknię za tymi czasami, gdy musiałyśmy się ukrywać.

Zamówiłem piwo. Pewnie nie powinienem, ale jedno nie zaszkodzi.

Shauna też zamówiła jedno.

— A więc zerwałeś z tą... jak jej tam...

— Brandy.

— Właśnie. Nawiasem mówiąc, ładne imię. Czy miała siostrę imieniem Whiskey?

— Umówiłem się z nią tylko dwa razy.

— W porządku. To chuda wiedźma. Ponadto mam dla ciebie idealną kandydatkę.

— Nie, dzięki.

— Ma niesamowite ciało.

— Nie umawiaj mnie, Shauno. Proszę.

— Czemu nie?

— Pamiętasz, jak umówiłaś mnie ostatnim razem?

— Z Cassandrą.

— Właśnie.

— A co było z nią nie tak?

— Przede wszystkim była lesbijką.

— Chryste, Beck, ale z ciebie bigot.

Zadzwoił jej telefon komórkowy. Oparła się wygodnie i odebrała, lecz ani na chwilę nie odrywała oczu od mojej

twarży. Warknęła coś do słuchawki i zamknęła klapkę mikrofonu.

— Muszę iść — oznajmiła.

Dałem znak, że proszę o rachunek.

— Przyjdiesz jutro wieczorem — orzekła.

Odpowiedziałem z westchnieniem udawanej rezygnacji:

— Lesbijki nie mają żadnych planów?

— Ja nie. Twoja siostra ma. Wybiera się na wielką galę Brandona Scope'a.

— Nie idziesz z nią?

— Nie.

— Dlaczego?

— Nie chcemy zostawiać Marka przez dwie noce pod rząd.

Linda musi iść. Praktycznie to ona organizuje to przyjęcie. Ja zrobię sobie wolne. A więc wpadnij jutro wieczorem, dobrze? Zamówię coś do jedzenia, pooglądamy wideo z Markiem.

Nazajutrz przypadała rocznica. Gdyby Elizabeth żyła, zrobilibyśmy dwudzieste pierwsze nacięcie na naszym pniu. Chociaż może zabrzmiałoby to dziwnie, jutrzejszy dzień nie miał być dla mnie szczególnie trudny. W rocznicę, podczas wakacji lub w dniu urodzin Elizabeth zwykle wchodziłem na tak wysokie obroty, że radziłem sobie bez problemów. Najtrudniejsze są powszednie dni. Kiedy naciskam klawisz pilota i trafiam na jeden z odcinków „The Mary Tyler Moore Show” lub „Cheers”. Kiedy wchodzę do księgarni i widzę nową książkę Alice Hoffman albo Anne Tyler. Kiedy słucham O'Jay, Four Tops czy Niny Simone. Zwyczajne rzeczy.

— Obiecałem matce Elizabeth, że wpadnę — powiedziałem.

— Ach, Beck... — Już chciała się ze mną spierać, ale zrezygnowała. — To może później?

— Jasne.